Nr. 6. Lwów w czerwcu 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

ZJAZD ŁOWIECKI.

Zapowiedziany pierwszy zjazd łowiecki we Lwowie odbędzie się w poniedziałek dnia 28. czerwca br. Program zjazdu według uchwały Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, powziętej na ostatniem posiedzeniu, jest następujący:

A.) Rano o godzinie 10-tej dnia 28 czerwca odbędzie się w sali Zarządu domen i lasów przy ulicy Kopernika l. 21 nadzwyczajne walne zgromadzenie członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Na porządku dziennym zgromadzenia:

1. Zmiana statutu
2. Wnioski członków

B.) Popołudniu o godzinie 3-ciej na strzelnicy wojskowej odbędzie się popisowe strzelanie uczestników zjazdu o nagrody honorowe.

Program strzelania jest następujący:

I. Strzelanie kulami do tarcz na odległość 80 kroków o dwie nagrody: 1. sztuciec z przyborami (dar prezesa gal. Tow. łowieckiego hr. R. Potockiego); 2. róg myśliwski z napisem gal. Towarzystwo łowieckie (dar tegoż Towarzystwa).

II. Strzelanie do tarcz na odległość 150 kroków o dwie nagrody: 1. Stelaż z insygniami myśliwskiemi na strzelby: przyrządy myśliwskie (dar wiceprezesa gal. Tow. łowieckiego ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego); 2. sztuciec manlicherowski (dar hr. Juliusza Bielskiego.)

III. Strzelanie do kul szklanych o dwie nagrody: 1. nagroda dam; 2. ozdobny kordelas (dar ks. Andrzeja Lubomirskiego).

Wpisowe do każdego z powyższych trzech strzelań wynosi po dwie korony od osoby.

Każdemu z biorących udział w strzelaniu o nagrody *wolno przywieźć swoją strzelbę lub sztuciec.*

Regulamin strzelania będzie ogłoszony przez komitet zjazdowy w dniu zjazdu na strzelnicy.

Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego zaprasza na zjazd wszystkich członków Towarzystwa, oraz wszystkich członków bratnich Towarzystw myśliwskich w Galicji.

JELEŃ.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

II.

[Dawne sposoby w łowiectwie jeleniem. — Łuk, oszczep, wab. — Jelenie łowy we Francyi i Niemczech. — Parforce i parkany. — Jeleń w dziejowym naszym zwierzyńcu].

Doły, zasadzka z łukiem na przynęcie, były pierwotnymi sposobami w łowach jelenich. Uszczucie zwierza, tak zwane po niemiecku *Hetzjagd*, polegające na dopędzeniu i pojmaniu niesforsowanego zwierza przez psy było niezawodnie w stosunkach ówczesnych kniei niemożliwe, sforsowanie zaś tak chyżego zwierza wobec terenowych przeszkód ówczesnych puszczy musiało być również zadaniem niezbyt łatwem, jeżeli nie już wcale niepodobnem. Łowy par force na modę francuską t. zw. „*La chasse du cerf*“ odróżniane od łowów innych na tego zwierza „*la chasse au cerf*“ praktykowane niemal wyłącznie przez dwór i szlachtę francuską bądź w niewielkich laskach, bądź na terenie odkrytym, nie udowadniają możliwości czegoś podobnego w wielkich puszczach pierwotnych. Przeciwnie, to co nam się wydaje dziś rzeczą nieprawdopodobną, było ważnym czynnikiem w łowach jelenich wśród wielkich kniei, wśród niezbyt przepłoszonych zwierzostanów. Ubicie jelenia z łuku cisowego z zasadzki, było w stosunkach ówczesnych rzeczą łatwiejszą, jak podejście na strzał z bronią obecną pod ostoje przetrzebionego i przepłoszonego zwierza. Szczególnie myśliwi, którym brakło sposobu do przedsiębrania wielkich łowów z psiarnią, musieli wyzyskać dla użycia łuku lub oszczepu zwyczaje jeleni, i urządziwszy zasadzki na dobrze znanych przesmykach zwierza, bez hałasu przychodzili do pewnej zdobyczy. Ztąd niezawodnie utrzymał się w plastyce i w tradycyi łuk i oszczep, jako niezbędny atrybut łowów jelenich, a częstokroć w znakach heraldycznych widzimy jelenia pomykającego ze strzałą tkwiącą w jego ciele, np. herb m. Sambora.

Łowy z wabiem były na wielką skalę praktykowane przez starych Germanów, a na wabia używano jelenia ułaskawionego i naznaczonego, celem zabezpieczenia go od napaści innych myśliwych. Nie mogę utrzymywać na pewno, że sposób ten używany był i przez nasze myśliwstwo historyczne, wielkie jednak podobieństwo praktyki myśliwskiej Słowian północno zachodnich ze zwyczajami germańskimi, każe się domyślać, że sposób ten przedstawiający tyle korzyści, musiał być również praktykowanym, bodaj w zachodnich, kresowych dzielnicach. Jak to ze staroniemieckich pism łowieckich, spisanych dopiero za czasów Ottona I. cesarza pod nazwą *leges*, dowiedzieć się można, jeleni ułaskawionych używano głównie podczas rykowiska, zwabiając w ten sposób jelenie dzikie na strzał z łuku. Trudność układu, ułaskawienia takiego jelenia, nadawały mu ogromną wartość, to też skarb ten chroniono znakami, ztąd t. zw. *lex salica* (XXXIII) mówiąc o takim jeleniu nazywa go „*cervus domesticus signum habens*“, *lex ripuaria* zwie go „*cervus domesticus cum triutis*“ (ze znakami), w prawie zaś longobardzkiem jest znów chroniony „*cervus domesticus, qui tempore suo rugire solhet*“, (jeleń domowy ryczący w swym czasie). Wartość takiego jelenia wzrastała w miarę okazywania się jego użyteczności w łowach, a jeleń udomowiony, przy którym ubito już kilka jeleni dzikich, który już zatem przebył kilkakrotnie trudną próbę w kniei, nie okazując ochoty pożegnania swego pana na zawsze, cenionym był na wagę złota i odróżniano go osobną nazwą techniczną.

Nie podlega wątpliwości, że jeleń, jako mieszkaniec dziewiczych, licznemi wodami przerżniętych puszczy, znajdować się musiał na całym obszarze ziem naszych, noszących ten charakter w zaraniu naszych dziejów, a li tylko wschodnich kresów kraje może nie posiadały w ogólności niezbędnych dla jego przyrody warunków. Jednak i w leśnych puszczach zwierz ten już bardzo wczesnej ulegał zatracie, a w wielu miejscach, słynnych z wielkich łowów innego zwierza, już w późnych czasach historycznych zabrakło od dawna jeleni, a utrzymała się o nich tylko tradycya wśród myśliwych, pozostała nazwa między ludem, gdy już dawno zatarła się w pamięci postać wspaniałych rogali. Nawet i w tych paradyzach łowieckich rozlegających się łącznym wiankiem puszcz od Mazowsza przez Litwę, Żmudź, Polskę, Ruś, bądź na dorzeczach Bałtyku, bądź na dziale wód pomiędzy Bałtykiem a morzem Czarnem, gdzie niewidziane już nigdzie olbrzymy fauny europejskiej wyzywały naszych myśliwych, jeleń od dawna zaginął. Nawet w słynnej Białowieży, przechowującej aż po nasze czasy klejnoty leśnej fauny, od dawna już nikt nie widział jelenia. „Jeden tylko modrzew pomiędzy drzewami nie znalazł tu sobie miejsca, jednego tylko jelenia nikt tu nie obaczy, pierwszy z natury nie upodobał sobie miejsca, drugiego sroga zima do szczętu wygubić miała“. (Starożytna Polska Tom III. str. 779).

Kiedy to ostatni jeleń w tej puszczy padł czy pod wpływem srogiego klimatu, czy też, co jest i więcej prawdopodobnem, ofiarą nieoględnych łowów, o tem nic pewnego powiedzieć nie można, prawdopodobnie jak o wielu innych puszczach nizinnych, w których według Kromera istniały zwierzostany jeleni. To pewna jednak, że zatrata nastąpiła bardzo wcześnie, gdy w puszczę wdarły się nie-

pokoje ustawicznych hałaśliwych łowów, gdy gęściejsze osadnictwo przerwało łączność obszarów leśnych i coraz bardziej zwiększała się falanga kłusowników, rekrutując się z osiedleńców.

Wprawdzie prawodawstwo karne na przestępstwa myśliwskie w owych czasach nie odznaczało się bynajmniej łagodnością i względnością jednak, jeżeli porównamy równoczesne prawa i zwyczaje karne na zachodzie z naszymi, to znajdziemy klucz do rozwiązania tej ciekawej zagadki, dlaczego np. w Niemczech utrzymał się jeleń w późne czasy, u nas zaś pomimo ekstenzywniejszych stosunków kulturnych zaginął bardzo wcześnie. Wprawdzie statut litewski w pierwszem i drugiem wydaniu postanawia karę śmierci na strzelca złapanego przy zwierzu, jednak 3-cie wydanie statutu z 1578. w czasie, gdy na zachodzie prześcigano się w okrucieństwach kar za przestępstwa łowieckie, łagodzi karę, naznaczając 6 niedziel więzienia na strzelca polującego bez woli właściciela. (Rozdz. 10 art. I.) zkąd, jak powiada Czacki (O lit. i pol. pr. tom II. str. 286) na Litwie i Polsce uważano przyswojenie polowania jako winę popełnioną przeciw cudzej własności, a nie jako występek główny.

Czego nie dokazał francuski Henryk IX i słynny Sully, tego dokonał szlachetny król Stefan i rozumny Ostafij Wołłowicz, któremu opracowanie 3 wyd. statutu powierzono. Z dumą możemy spojrzeć na te wstrętne dzieje myśliwstwa w krajach, przodujących dziś w kulturnych zapasach, bo wybitnym dowodem wysokich pojęć etycznych jest właśnie nasza legislatywa jako wyraz humanitarnych dążeń naszego społeczeństwa.

Nie chcę tu przykładami krwawić i tak już ponurego obrazu stosunków myśliwskich na zachodzie, pomijam drakońskie prawa angielskie, francuskie, niemieckie — wszystko to tarza się brutalnie we krwi słabszego bliźniego, bez żadnych względów i wyrozumienia, wszystko to dzieje się w półtora tysięcy lat po ogłoszeniu boskich praw przez mistrza z Nazaretu, a najohydniejszą rolę odgrywają tam najpotężniejsi, a za ich przykładem idą całe zgraje ich satelitów.

Gdy przeto na zachodzie okrucieństwo i nielitościwa ręka podtrzymuje zwierzostany jelenie, u nas dzieje się inaczej. Zwierz ten nader łatwy do wygubienia zanika wcześnie we wielu dzielnicach, a przyczynia się ku temu również i w wielkiej ilości rozmnożony zwierz drapieżny, niemniej srogość kontynentalnego klimatu, szczególnie we wschodnich dzielnicach kraju.

Równocześnie gdy we Francyi jeleń jako sławiony przedmiot łowów królewskich, zajmuje całą uwagę dostojnych myśliwych, gdy pod protektoratem monarchy pojawia się dzieło *„Le Dil de la Chasse du cerf"*, traktując o łowach *„par force"*, które już w 13 wieku stanowiły charakterystyczny rys myśliwstwa dworskiego, łowy jelenie w Niemczech nabierają innej cechy — siecie i parkany są głównie w użyciu, a tylko wyjątkowo pojawia się naśladownictwo francuskich zwyczajów.

W 17 i 18 wieku nie ma dzieła o myśliwstwie na zachodzie, w któremby jeleń nie zajmował dominującego miejsca, pominąwszy już specyalne dzieła o łowach jelenich, którym nawet monarchowie poświęcali swe pióro. W r. 1625 wyszło dzieło *„La Chassse Royale composé par le Roy Charles IX"*. Jednak i autorstwo króla, traktujące o łowach *par force*, nie olśniewa Niemców, pozostają oni przy swych odrębnych zwyczajach, a w sto lat później Fleming w znakomitym na swe czasy dziele *„Vollkommener deutscher Jäger und Fischer"* (B. I p. 294 r. 1729) wspomina o łowach francuskich z pewnem lekceważeniem: „Die französische Hirschjagd zu beschreiben mir als deutschem Jäger nicht zukomme, noch anständig zu sein scheinen möchte". Uważając już sam opis francuskich łowów za rzecz nieprzyzwoitą dla myśliwego niemieckiego, traktuje autor szczególnie o pochodnem na jelenie, a wypierając się wszelkich zabobonów, podaje szczególne sekrety, aby łowy takie się udały: (pag. 284). „Der Lauf musste im November unter dem Zeichen des Schützen geschmidet, der Schaft von Holze eines Nussbaumes sein. in welchen der Blitz geschlagen hat, und unter dem Lauf musste ein Stücklein primi menstrui geleimt worden. Solche Dinge haben ihre natürliche Wirckung. von anderen Aberglauben ist aber wahrlich nichts zu halten". Jeżeli prawdą jest, że najwybitniejszym wyrazem zachwytu jest milczenie, to niechaj ono zapieczętuje z mej strony sentencye, wypowiedziane przez trzeźwego autora, które naprowadziłem jako „pars pro toto' wyobrażeń minionych wieków.

Społeczeństwo nasze sympatyzując od dawnych czasów z gustami Francuzów, starało się i w łowach jelenich naśladować ich zwyczaje, to też gdy wszystko co francuskie znajdowało łatwy wstęp, to i łowy *par force* odbiły się i u nas na dworach wielkopańskich niejednem echem. Słynęły swego czasu w Rydzynie w ziemi wschowskiej w Poznańskiem u książąt Sułkowskich, gdy ks. August, wojewoda gnieźnieński, cały swój dwór na sposób francuski urządził.

Rozbujała mania w łowiectwie jeleniem, wymagając coraz to większej ilości ofiar dla swego zaspokojenia, położyła wnet koniec świetnym nawet zwierzostanom w wolnej kniei Maleparta do czarta — co się uchowało pod krzywdzącą innych ochroną, to zniszczyła monstrualna namiętność i zamiłowanie w urządzaniu hekatomb z życia szlachetnego zwierza. Do rzezi takich na wielką skalę nadawał się szczególnie jeleń zwierzyńcowy, na pół ułaskawiony, to też kto tylko mógł, rozmnażał jelenie w ogrodach, lasach i parkach, aby módz sobie urządzić mordownię! Król hiszpański Karol IV. (* 1748—† 1819) używał nawet w tym celu armatury wojennej — kazał strzelać kartaczami do spędzonych jeleni, „aby przerzedzić niesłychane chmary rozmnożonego zwierza". (Allg. Geogr. Ephemeridae X. 56).

Z czasów, gdy na zachodzie jeleń tworzył główny przedmiot wielkich łowów, a były to już późne czasy historyczne, dochodzą nas dość szczupłe wiadomości o łowach na polskiego jelenia. Był on albo zwierzem rzadkim, albo wygubionym w wielu okolicach zupełnie, albo wreszcie zacierał go swem wrażeniem zwierz inny, potężniejszy, w którego obfitowały jeszcze podówczas nasze knieje.

Wśród zachowanych jednak wieści o łowach polskich jeleni, wysuwa się na pierwszy plan jeleń karpacki, rozszerzający niegdyś swe ostoje daleko na północ aż w podmokłe, piaszczyste puszcze nad Wisłą i Sanem. Jednak wcześnie zatraca się jeleń na dołach; ustawiczne łowy, gęściejsza ludność przepłasza go ku górom, a im głębiej w góry, tem więcej po nim zostało pamiątek. Podgórskie knieje, szczególnie Jaworzyny, były niegdyś ulubioną jeleni pieleszą, wskazują na to nazwy topograficzne, pozostałe aż do naszych czasów w tem paśmie, odbijają się w dziejach echa jelenich łowów w tych stronach. Od strony Dunajca na pięknej górce z widokiem na Sącz, leży tam wioska Drużków, gniazdo herbowych panów Drużyny, a tu i pod nią Dobrociesz, leśny zaścianek Brochwiców z godłem jelenia w herbie. Tam w pobliskim Czchowie, polował na jelenie

w r. 1340 Kazimierz Wielki i ztąd zaglądał do Dobrocieszy na jelenie łowy.

Gdy po hałaśliwych łowach zwierz się usuwał w głębokie góry, postępowały za nim coraz dalej orszaki łowieckie, a jeszcze Łokietek w r. 1312 polując koło Lipnika w puszczy jaworznickiej, oparł się aż o grzbiety rogacza polskiego. Wdowa Łokietkowa w r. 1336 nadała wójtowi Starego Sącza 100 łanów puszczy nad Kamionką, stanął tam później zameczek myśliwski, w którym przebywały orszaki dostojnych książąt i królów. Tam się lubowały i radowały serca myśliwskie — tam Luboń, Lubień, Radziecha, Radziejowa, Dobrociesza etc., same nazwy nie od smutnych wrażeń powstałe. W puszczy Niepołomickiej, strzeżonej od wieków jako *voluptoir* łowiecki dworu, miały się jelenie utrzymać do schyłku zeszłego wieku, tak utrzymuje przynajmniej autor Geografii Galicyi r. 1786 (Kuropatnicki); były to już prawdopodobnie jakieś resztki tych ogromnych zwierzostanów, jakie się w tej puszczy jeszcze za Władysława IV. znajdowały. W roku 1644 starosta Niepołomicki, podejmując króla, urządził tam łowy, w których sam król w 5 dniach 50 jeleni ubił.

W paśmie łysogórskiem, tworzącem po za obrębem właściwych gór, największe wzniesienia na całym obszarze ziem polskich, rozbrzmiewały już, jak mówi tradycya, rogi łowieckie Bolesława Chrobrego. Na jednej takiej wyprawie w r. 1006, w której uczestniczył książę Emeryk, dotarto aż na szczyty góry Świętokrzyskiej w pogoni za jeleniem. Miejsce to obrał mąż bogobojny na klasztor, a uprosiwszy króla o fundacyę tegoż, poświęcił górę zatknięciem na niej krzyżyka z drzewa krzyża Zbawiciela. Dalej w tem paśmie ku wschodowi wznosi się góra Jeleniowska, a u podnóża legła wieś Jeleniów. Odwieczne tam szumiały lasy — wśród cichej puszczy istniała tam niegdyś świątynia Lelum Polelum, na grzbiecie góry — w księżycowych nocach przelatywały nad lasami czarownic gromady, to znów ze świstem wichru przemknął się w ciemnościach umarłych łowców orszak, pędząc przed sobą jakieś mgliste zwierzęta po grzbietach gór i znikał wreszcie w jakiejś rozpadlinie, zkąd słychać było stłumione echa myśliwskich rogów — szczękała tam broń, grała psiarnia i szeleściły loty rarogów. Pasmo łysogórskie, zachowawszy do późna ślady archaicznego charakteru fauny, było niezawodnie siedliskiem obfitych stad jeleni. Niedaleko ztamtąd nad rzeką Pilicą, w Przedborzu, którego sama nazwa o lesistości tej okolicy mówi, polował bardzo często na jelenie Kazimierz Wielki. Istniał tam zameczek myśliwski, przez tego króla wystawiony, o którym wspomina jego biograf Janko z Czarnkowa. Wreszcie w r. 1370 król rozgrzany nazbyt widokiem uchodzącego, a silnie postrzelonego jelenia, puścił się za nim w pogoń konno przez zarośla. Koń się potknął, a król upadłszy na ziemię „ciężką na lewym goleniu odniósł ranę“ (Hist. Narusz.) We dwa miesiące później skutkiem odniesionego obrażenia zgasł nieodżałowany król chłopków.

Oprócz wielkich i zwartych puszcz w ziemi radomskiej i sandomierskiej, prędko jednak zanikają zwierzostany jeleni, a szczególnie po lasach prywatnych, tak, że już w wieku 16 jeleń nie należał tam bynajmniej do zwierząt popularnych, gdy przeciwnie w puszczach koronnych obok innych zwierzostanów, obok łosi, dzików i niedźwiedzi znajdowały się bardzo pokaźne zwierzostany jeleni. I tak n. p. do Jedlny nad Wisłą, do dawnego myśliwskiego paradyzu Jagiełły, zjeżdżali często na jelenie łowy pomniejsi monarchowie, polował tam jeszcze na nie August III., a nawet dostało się coś jeszcze myśliwstwu Stanisława Poniatowskiego. Gdyby jeleń w 16tym wieku był w ogólności ozdobą tamtejszych okolic, to niezawodnie wspomniałby o nim Kochanowski w swej apostrofie do króla, zachęcając go do łowów, tymczasem pomija on jelenia wodząc myślą po wdzięcznych Czarnolasu rozłogach:

„Ale, jeźli cię raczej myśliwska myśl wiedzie,
Na dzikie wieprze jechać albo na niedźwiedzie,
Lubo sarny po puszczy gonić wiatronogie,
Wszystkiego tu królu mój, znajdziesz mnóstwo [srogie“.

(Pieśni ks. IV. XXVIII.
Dryas zamechska).

Jak tutaj przeto, podobnie i w innych dzielnicach kraju jeleń w wolnej naturze należał już od dawna do zwierząt niezwykłych, a jedynie tylko w dobrze strzeżonych i bliżej stolicy monarchów lub siedziby magnatów położonych wielkich kniejach istniał jeszcze w pokaźnych zwierzostanach ten zwierz szlachetny, zanikając jednak i tam zwolna pod wpływem nieoględnych łowów. Stryjkowski, wyliczając ilość i gatunek zwierzyny, dostarczanej do Łucka podczas pamiętnego tam zjazdu w 1429 r., gdzie się znaleźli reprezentanci państw pół Europy, nie wspomina o tej zwierzynie; po 100 żubrów, po 100 łosi i dzików zjadano tam dziennie, według słów kronikarza, ale nie kosztowano jelenia. Czyliżby go już wówczas nie było podówczas w całej okolicy Łucka, zkąd ciężkie telogi wywlekały zdobycz myśliwską, budzącą największy podziw obcych dygnitarzy? Najniezawodniej był on, ale już zrzadka, a obfitość pokaźniejszego zwierza, dostarczającego masy mięsiwa, zaćmiewała stosunkowo niepokaźną zdobycz, zwierzyńców zaś jelenich jeszcze podówczas nie było, aby można dostarczać naraz większej ilości tej zwierzyny.

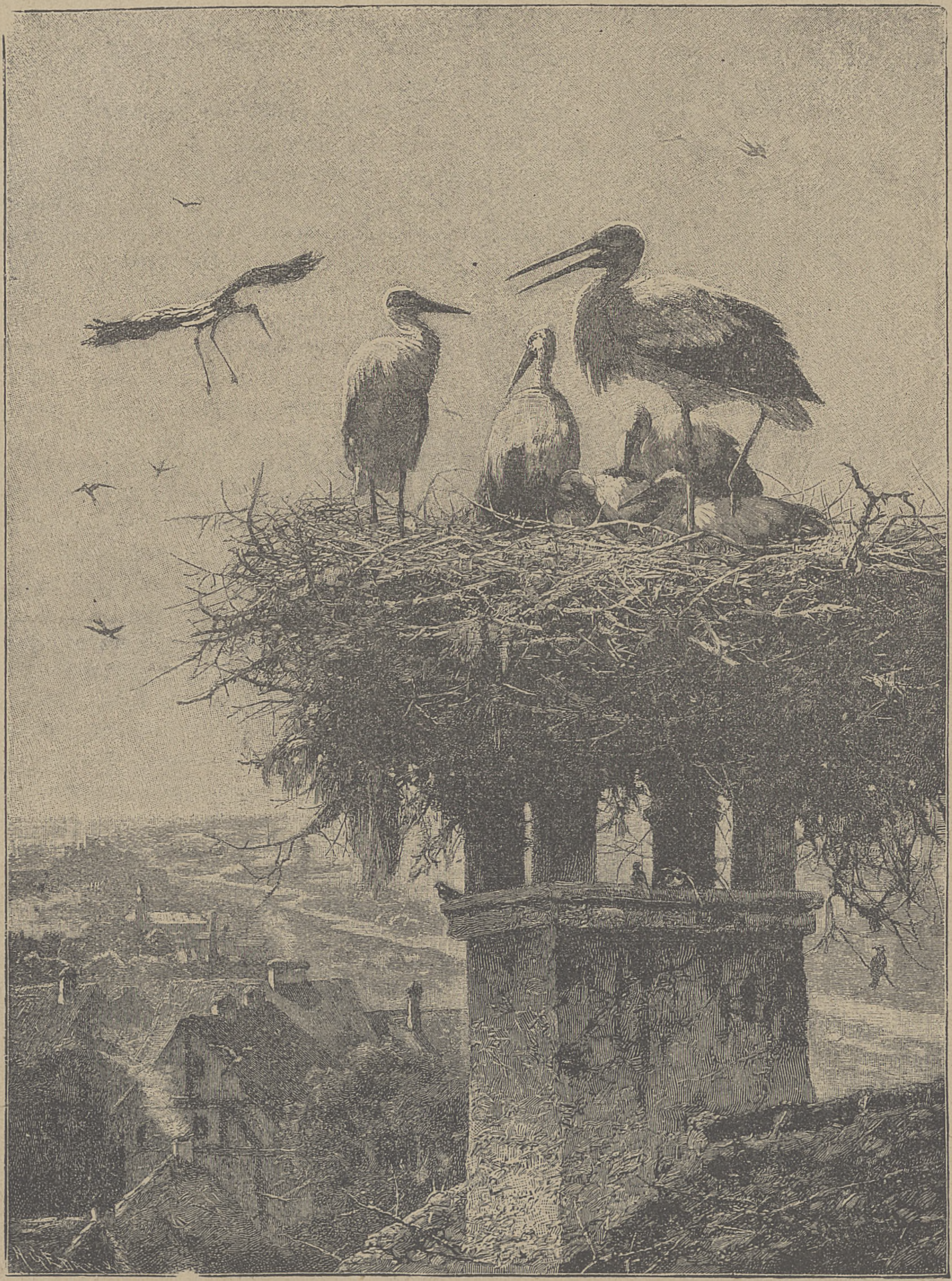
Rewizya puszczy Smedyńskiej koło Włodzimierza w r. 1552, znajduje tam tylko niedźwiedzie, łosie i dziki.

W ogólności puszcze podmokłe o grzązkim terenie, nie odpowiadają przyrodzie jelenia i tam, gdzie łoś i dzik najznakomitsze znajdują ostoje, nie może dobrze prosperować jeleń, już choćby z prostej przyczyny plagi owadziej, na którą szczególnie zwierz ten jest czuły, a która w takich podmokłych kniejach staje się nader dokuczliwą.

Wschodnie pasmo Karpat niemal jednolita, wcale niezamieszkana puszcza, kryła w swem wnętrzu zwierzostany jeleni, jakich już z pewnością na całym obszarze ziem innych nie było, a gdy ponoś po raz pierwszy od zachodnich kresów wdarł się tam orszak myśliwski Jagiełły, dziewicza przyroda i nadzwyczajne bogactwo grubego zwierza, zaczarowały na długo i króla i jego towarzyszy. Utonęły w pogoni za jeleniem i niedźwiedziem bez wieści liczne drużyny królewskie w kniejach tego raju myśliwskiego, a dopiero po upływie kilku miesięcy wyniesiono z głębi archaicznych przybytków trofea, wskazujące, że czasu tam darmo nie tracono. Czem dalej na wschód, tem bardziej naturalnymi grodami warowna puszcza, stawała się mniej przystępną, a tylko od krawędzi zapuszczać się tam mogły wyprawy, rozporządzając olbrzymimi środki, które stawały się jednak koniecznymi do zwalczenia wszelkiego rodzaju przeciwności, jakie tu czekały myśliwego. To też nie dziw, że głębsze góry w paśmie wschodniem mimo namiętności, z jaką się nasze społeczeństwo oddawało łowom, pozostały na długo wiekuistą puszczą, w której po rzadkiej kolonizacyi w wiekach następnych chyba tubylec zakłócał spokój dziewiczej faunie.

W samborskich górach we wsi Huśnem koło Turki, znajduje się może najdalej na wschód posunięta pamiątka wielkich łowów historycznych w głębokich górach. Wznosi się tam góra „Pikuł" o dwóch ostrych szczytach, na jednym, niby na olbrzymim słupie wyryty napis łaciński opowiada o ubiciu jelenia u stóp tej góry przez królową Bonę, na drugim napis nieczytelny — być może, że jest to podniebne *epithaphion* jakiegoś romantycznego Sarmaty, którego tu śmierć niespodziewanie zaskoczyła na łowach.

Wszystko, co tylko możemy się dowiedzieć bądź z niedokładnych wskazówek historycznych, bądź z podań tradycyjnych o topograficznem rozsiedleniu jeleni na obszarach dawnej rzeczypospolitej, nie daje wprawdzie jasnego o rzeczy wyobrażenia, jednak to pewne, że gdzie tylko dotkniemy naszej myśliwskiej przeszłości, w mniej lub więcej wyraźnych konturach pojawia się postać jelenia. W pewnych okolicach zna go lud, znają go myśliwi, pomimo, że trudno odszukać tam śladów istnienia rzeczywistego jelenia w cza-



RODZINA BOCIANIA.

sach historycznych. Gdzieindziej znów po długich wiekach żywota w mglistej tradycyi, zjawia się jeleń rzeczywisty, ale wnet ginie na długo, czasem na zawsze, a natomiast znów w innej okolicy elektryzuje koła myśliwych zjawienie się jeleni. Zdarzają się znów i takie okolice, w których nie tylko, że nikt jelenia w kniei nie zapamięta, ale gdzie nawet o nim i tradycya wymiera, za to znów przy lada sposobności wydobywają tam z ziemi wieńce, świadczące swym wyglądem i patyną, że do niezbyt oddalonych czasów należy odnieść zagubę tego zwierza.

Niejasność wskazówek o topograficznem rozsiedleniu tego zwierzostanu polega na zwyczaju jeleni zmieniania ostoi, unoszenia się w dalekie strony, opuszczania raz na zawsze dawnych siedlisk, jeżeli ku temu pewne znajdą się

powody. A powodów tych mogło być bardzo wiele. Raz zwierz drapieżny nader rozmnożony w pewnej okolicy, szczególnie wtargnięcie wilków w ostoje zwierza, zwłaszcza podczas gołoledzi, mogło spowodować zupełną ruinę zwierzostanu, a resztki opuściły raz na zawsze zaniepokojoną okolicę, innym razem i kłusownictwo i hałaśliwe a ustawiczne łowy z gończakami położyły albo koniec tym zwierzostanom, albo spowodowały daleką wędrówkę. Również i nadzwyczajnie ostre zimy wobec zaniechania wszelkich starań o zwierzu mogły wyniszczyć doszczętnie zwierzostany jeleni w pewnej okolicy.

O ile rzadszym stawał się jeleń w wolnej knieji, o tyle częściej utrzymywano go w zwierzyńcach, urządzanych częstokroć z wielkim nakładem na wzór zagranicy, ku czemu nawet i obcokrajowców sprowadzano. Mania ta wkradłszy się na dobre w okresie Zygmuntów, osiągnęła kulminacyjny punkt za Zygmunta Wazy. Nie było większego dworu, przy którym nie byłoby zwierzyńca, gdzie szczególnie w wielkiej ilości utrzymywano jelenie i daniele. I nie mogę i nie zdołałbym skreślić tu wyczerpującego obrazu zwierzyńców w Polsce, wspominam tu tylko o najgłośniejszych, urządzonych na wielką skalę jak wszystko, co powołała do bytu wola i ogromne środki klas najmożniejszych.

Koło Zamościa, w zwierzyńcu oparkanionym na długość dwóch mil, utrzymywano mnóstwo jeleni, danieli i sarn. W r. 1786 parkan już był zniszczony, a zwierzostan w ruinie. W dziedzictwie Jana Ostroroga w państwie Komarniańskiem znajdował się pod wsiami Łowczyce i Podzwierzyniec, również znaczny zwierzyniec, którego opis pozostał, skreślony ręką właściciela, najsłynniejszego swych czasów myśliwego i autora dzieł myśliwskich. W miejscu tem obecnie jest przeważnie pole, reszta pozostała lasem; pola zatrzymały dotąd nazwę „zwierzyniec“, a pomiędzy ludnością miejscową żyją już tylko bardzo niewyraźne tradycye o przeszłości tego kawałka ziemi.

W Milanowicach, w starostwie kowelskiem, w Stawnie, w Urzędowie (Lubelskie), znajduje lustracya r. 1564 dobrze ogrodzony zwierzyniec, który jednak już w r. 1655 był zupełnie opustoszały, a zwierz wybity.

Słynnym był zwierzyniec w Knyszynie na Podlasiu, jednak opustoszał bardzo prędko, a w r. 1765 za starostwa Tomasza Czapskiego już tylko o nim istniało podanie.

Głęboko w puszczy Rudnickiej na Litwie, znajdował się ogromny zwierzyniec nad rzeczką Zgwizdą, parkanem w okół na kilka mil obwiedziony. Był to *voluptoir* orszaków dworskich, gdy łowy w naturalnych ostępach zawiodły.

Znanym bodaj z nazwy jest zwierzyniec ks. Radziwiłłów w Białej, w którym były oddziały dla rozmaitych zwierząt i gdzie samych danieli 600 sztuk utrzymywano.

Zwierzyniec w Skierniewicach założonym został już za czasów Księstwa Warszawskiego przez generała Hauke. Z prawdziwie magnackim przepychem urządzony był zwierzyniec w Zofiówce, w Antoninie koło Ostrowa, gdzie w r. 1821 A. ks. Radziwiłł wystawił zamek myśliwski.

Mnóstwo jeleni posiadał zwierzyniec w Krzepicach w pow. letowskim, założony u schyłku 16 wieku przez marszałka Wolskiego, Lustratorowie w r. 1636 powiadają, że: „Circumfenentia tego parku być może 2 mile. Zauważył pan marszałek zwierza dostatek, a osobliwie jeleni“.

W Osiecku, w ziemi Czerskiej, tuż przy folwarku znajduje lustracya r. 1660 zwierzyniec: „Było w nim jeleni 100 sztuk przed inwazyą szwedzką i kozacką: teraz w nim nic nie masz“.

Na Bielanach pod Warszawą istniał jeszcze bogato uposażony zwierzyniec za Augusta II., tożsamo w Białymstoku na Podlasiu, a w Trokach zwierzyniec witoldowy przetrwał aż w czasy Zygmunta III.

W głowie się mąci pod nawałem nazw miejscowości, w których hodowano jelenie, myśl skacze po 100 milowych obszarach i wyrywa ztamtąd tylko najwybitniejsze urywki topografii zwierzyńcowej. Oto jeszcze kilka słynniejszych wielkopańskich zwierzyńców: w Rydzynach w Poznańskiem ks. Sułkowskich, w Kurniku u Górków istny „orbis pictus“ według opisu Sarnickiego z r. 1585 (Descriptio veteris et novae Poloniae), „Teritorium omnibus presidiis aeconomicis refertum, hortis, granariis, piscinis, ferinariis, aviariis“, tak dalece że „Et dominus domum et domus dominum cohonestat“.

W Ujazdowie pod Warszawą w r. 1643 było „pełno jeleni“, a wodę dla nich sprowadzono tam osobnym kanałem z Wisły za Augusta II Słynęły rogacze w zwierzyńcu Wyszogrodzkim w ziemi Wiskiej na Mazowszu, w Radziejowicach za życia St. Junoszy Radziejowskiego pod rządami Władysława IV. był zwierzyniec, którym się zachwycała królowa Marya Gonzaga.

Istnienie bardzo wielu zwierzyńców, zakładanych pod wpływem ogólnej manii, było tak przelotne, że ledwo jakaś pamięć po nich pozostała w miejscowej tradycyi, inne znów przetrwały kilka pokoleń, historya jednak tych drogich zakładów, miała zawsze smutny koniec, gdy moda i mania ostygała, gdy łowiec polski nie znajdował smaku w łowach zwierzyńcowych, znikały zwierzyńce w szybkiem tempie pod wpływem zaniedbania, a wreszcie zginęły niemal zupełnie, gdy ciężkie ciosy przygniotły kraj cały.

Niedobitki zwierzyńcowe bądź uszły same, bądź wypuszczono je i wtenczas znów w rozmaitych stronach kraju w wolnej knieji pojawiły się jelenie. Los jednak tych wyzwoleńców był nie do pozazdroszczenia. Wieść o przejściu jelenia z kniei do kniei, nie zamilkła aż do skutku. Szlachcic powiadomiony o pobycie „zwierza przechodniego“ w swej kniei, natychmiast urządzał polowanie, sprosiwszy najbliższych sąsiadów, którym jak o jakiem dziwie opowiadał o zjawieniu się jelenia:

„Co wam dziś powiem pewnie was zadziwi,
Że miał się rogacz w mej knieji zasiedzieć,
Którego wieniec ośm gałęzi liczy (aż).
(Br. Kiciński 1840. Poezye tom II 59.)

Po takiej przemowie policzone już były chwile nieszczęsnego ósmaka. Zgraja grzmilasów, dzwonków, śpiewaków etc. nie dała mu już spokoju. Wreszcie i tak już słabosiły rogacz staje przed psami, wtenczas „Przybywaj rogiem, zatrąbiono“ i

„Już tentent koni w boru się rozlega
I pędzi hurmem polujących grono,
Pierwszy dojeżdżacz dotarł w samą porę
I kordelasem uderzył w komorę“.

No i koniec. — Cisza o jeleniu na długie czasy, póki znów może kiedyś jaki uciekinier zwierzyńcowy nie zabłądzi w niegościnną knieję, gdzie biją wszystko co żyje, gdzie spiczaka „siekańcem chlustają“ (str. 64), gdzie i sarnę, co błysnęła serwetką, „grom strzelby“ równocześnie dościga.

Przy takiem wykonywaniu łowów, jakiem się Kiciński nacieszyć nie może, nie było już miejsca dla jelenia w wolnej naturze. „Dźwięki trąbek“ po powrocie z takich lub podobnych łowów, zdawały się być „piosnką wyuczką“, w rzeczywistości był to marsz pogrzebowy nad zwłokami niedobitków, przeciw którym stosowano dalej dawne, już nie na czasie będące sposoby bezwzględnego niszczenia.

Gdy zatem zwierzyńce opustoszały, gdy znajdujące się tam zwierzostany wyginęły bądź z głodu, bądź pod strzałami myśliwych, którym ubijanie wynędzniałego i na pół oswojonego zwierza sprawiało jakąś kaduczną satysfakcyę, gdy wreszcie wyjątki uszłe na wolność, spotkał los podsycający natchnienie współczesnych poetów myśliwych, to niedziw, że jeleń należał prawie do zwierząt zaginionych w całym kraju, a naturalne jego ostoje ograniczyły się na nieprzystępne, łączne puszcze górskie, dokąd jednak z każdym rokiem wciskał się coraz głębiej zgiełk hałaśliwych łowów.

Próba lufek stalowych.

W ostatnich szczególnie czasach zdarzało mi się często mieć w ręku bądź to strzelby śrutówki, bądź też sztućce expressy i drylingi, w których lufki stalowe tak były lekkie i cienkie, że poprostu niedowierzanie we mnie wzbudzały co do możności wytrzymania silniejszego naboju prochu.

Koledzy myśliwi z łatwością sobie przypominają, nie tak to bowiem dawne czasy, pierwsze ekspresy, których niedobitki jeszcze się pomiędzy ludźmi kręcą. Potrzeba było niezwykle silnego człowieka, któryby był w stanie, nie mówię z łatwością, ale przynajmniej z jakim takim skutkiem, obchodzić się z podobną maszyną, to też wielu bardzo ludzi pomimo niezaprzeczonych zalet ekspresów zaczęło wracać do dawnych lekkich sztućców, będąc zdania, że polowanie przedewszystkiem jest przyjemnością, a nie żmudną i uciążliwą pracą.

Wkrótce też zaczęli fabrykanci wprowadzać stal czystą jako materyał do lufek tak ekspresowych, jakoteż i śrutowych, a nowość ta znacznie wpłynęła na obniżenie wagi broni, tak, że obecnie spotykamy się z ekspresami tak prawie lekkimi, jak dawniejsze śrutówki. Ekspresy prawie bez wyjątku są teraz robione ze stali, a i śrutowe lufy również wielu znajdują amatorów, najlepszym zaś dotychczas materyałem była stal angielska wyrobu Siemensa i Whitwortha. Anglicy, którzy wyrób broni traktują w sposób naukowy i najmniejszy szczegół i każdy nowy wynalazek lub zmianę w dziedzinie fabrykacyi broni poddają bardzo wyczerpującym próbom i doświadczeniom, słusznie dumni byli ze stali u nich wyrabianej i w ostatnich latach przeważnie używanej do wyrobu lufek tak sztućcowych, jakoteż i śrutowych.

Tak było do niedawna. Ponieważ jednak we wszystkich gałęziach przemysłu próby i postępy szybkim idą krokiem, znalazł się ktoś, kto Anglików tak na głowę pobił, że do tej pory opamiętać się nie mogą. Tą osobistością jest Fryderyk Krupp z Essen, który, nie bawiąc się w żadne reklamy, posłał do Londynu lufki stalowe swojego wyrobu z prośbą przedsięwzięcia z niemi prób porównawczych z najlepszemi lufkami stalowemi wyrobu angielskiego.

Rezultat tych prób wyczytałem w dzienniku „*The Field*“ i sądzę, że niejednego z kolegów myśliwych zajmie tłómaczenie dosłowne tego artykułu, które pozwalam sobie tu przytoczyć. Zanim jednak do tego przystąpię, wytłómaczyć muszę, że wydawnictwo *Field'a* spoczywa w rękach grona ludzi fachowych, traktujących kwestyę wszelkiego rodzaju sportu ze ścisłością matematyczną i z taką bezstronnością, że zdanie w którejkolwiek gałęzi sportu, wypowiedziane przez redakcyę *Field'a*, ma wagę faktu niezaprzeczonego (przynajmniej w Anglii), a jak dalece to jest prawdą, mogłem się przekonać na tem, że próby z lufkami Kruppa odbywały się w ostatnich dniach marca, a już w ostatnich dwóch numerach dziennika wychodzącego tygodniowo, pierwszorzędne firmy jak Purdey, Lancaster, Holland i t. d. w anonsach zalecają klientom swoim lufki Kruppa, jako najlepsze i najwytrzymalsze. Teraz przystępuję do rzeczy. Artykuł *Field'a*, o którym wyżej wspomniałem, opiewa:

Próba lufek stalowych. Przed kilku dniami odebraliśmy od reprezentanta firmy Fryderyka Kruppa w Essen i Annen, pana Reichwalda, zamieszkałego w Londynie prośbę, żebyśmy wykonali próby lufek kal. 12-go, wyrobionych ze specyalnej stali Kruppa w porównaniu ze stalowemi lufkami najlepszej fabrykacyi angielskiej.

Czytelnikom naszym dobrze jest znanem, że firma Kruppa słynie w świecie całym doskonałością wyrobów stalowych, jednakże szczerze wyznać musimy, że nie byliśmy przygotowani na tak znaczną przewagę w porównaniu z najlepszymi fabrykatami angielskimi. Stal Kruppa wytrzymuje niesłychane ciśnienie, lecz co jest o wiele ważniejszem, przy używaniu jej do lufek posiada bardzo wielką skalę elastyczności. Metalurgowie wiedzą o tem dobrze, że skoro tylko granica elastyczności metalu zostanie przekroczoną, potrzeba niewielkiego i nieczęsto nawet powtarzającego się ciśnienia, żeby nastąpiło całkowite pęknięcie Wysoka skala elastyczności jest więc bardzo ważną rzeczą przy lufkach karabinowych i sztućcowych, szczególniej teraz przy przeważnie używanych małych kalibrach broni, przy których wywiązuje się nadmierne ciśnienie gazów w komorze lufy. Często przynoszono nam lufki expresowe kal. 303, w których materyał użyty za miękki i nieelastyczny, spowodował po kilku strzałach zwiększenie komory i czynił lufkę niezdatną do użytku. Z drugiej strony pp. Holland et Holland pokazywali nam niesłychanie lekki ekspres podwójny kal. 303 ze stali Kruppa, zapewniając nas, że poddawali go rozmaitym próbom z nadmiernie silnymi nabojami czarnego i bezdymnego prochu, pomimo których nie zauważyliśmy żadnej zmiany.

Robiąc próby porównawcze wytrzymałości lufek, główną wagę przywiązujemy do rozległej skali elastyczności metalu, skoro ona bowiem przekroczoną zostanie, kaliber, do którego lufka jest drążona, powiększa się, a tem samem lufka już nie jest do użytku.

Wracając się do prób, które sami robiliśmy, nie zwracaliśmy zupełnie uwagi na końcową część lufki, ponieważ główną wagę kładziemy na komorę, jako najwięcej na szwank narażoną przy wybuchu gazów. Wydrążyliśmy zatem wewnątrz lufkę do kalibru 12-go, zewnątrz zaś otoczyliśmy ją tak, że przy samym początku komory grubość lufki wynosiła 1·10 cala (cal angielski = calowi polskiemu czyli $2^1/_2$ centimetra). Przy strzelaniu używaliśmy jako pocisku kulę czyli raczej sztof z hartowanej stali wagi 4 uncyi (= 113·40 grama).

Rozpoczęliśmy próbę, biorąc trzy lufki. Dwie z nich

były fabrykacyi angielskiej i pochodziły z pierwszorzędnych firm, trzecia zaś przyniesiona nam przez reprezentanta Kruppa. Proch używany przy próbie pochodził z fabryki Curtiss i Harvey i dawaliśmy filcową przybitkę grubości 3·8 cala pomiędzy prochem a pociskiem.

Pierwszy nabój prochu wynosił 80 grains, 5·200 miligramów (1 grain- 65 miligrames) i po każdym wystrzale zwiększaliśmy nabój o 20 grains (1·300 miligr.)

lufka angielsk. N. 1. bez zmiany	lufka angiel. N. 2. bez zmiany	lufka Kruppa bez zmiany
80 gr. (5·200 m.	„ „	„ „
100 „ (6·500 „)	„ „	„ „
120 „ (7·800 „)	„ „	„ „
140 „ (9·100 „)	„ „	„ „
160 „ (10·400 „)	„ „	„ „
180 „ (11·700 „)	„ „	„ „
200 „ (13·000 „)	„ „	„ „
średnica kalibru powiększona o ·003 cala	średnica kalibru powiększona o ·005 cala w długości 1 cala lufka wydęta	230 gr. (14·300 m.) 240 „ (15·600 „) 260 „ (16·900 „) średnica kalibru zwiększona o ·009 c.-

Próby te przekonały nas, że przy tak znacznej cienkości lufek najsłabszym punktem był sam początek komory. Wzięliśmy zatem zupełnie tak samo drążone trzy pary lufek, które od pierwotnych tem się tylko różniły, że przy zewnętrznem otoczeniu lufki pozostawiliśmy pierścień.

Próby identyczne tak samo prowadzone jak poprzednim razem doprowadziły nas do naboju 200 grains (13·000 miligr., przy którym lufka angielska N. 1 okazała różnicę w średnicy $^3/_{12}$ cala, lufka angielska N. 2 również $^3/_{12}$ cala, lufka zaś Kruppa dopiero po dojściu do ładunku prochu 300 grains (19·500 miligr.) wykazała różnicę w średnicy kalibru o 003 cala i lekkie wydęcie w odległości 2 i pół cala od komory.

W obec tego rezultatu postanowiliśmy doprowadzić lufkę Kruppa do pęknięcia i w tym celu powiększyliśmy odrazu nabój prochu o 500 grains (32500 miligr.), pozostawiając stalowy pocisk i przybitkę jak przy poprzednich próbach. Ogromny ten nabój nie wywarł żadnego wrażenia na lufkę, gdyż w odległości $1^1/_4$, i $2^1/_2$ cala od komory było tylko lekkie powiększenie średnicy o 0·01 cala, ale za to w smutny sposób dla nas odbiła się ta próba na całym naszym lokalu, który widocznie nie był przygotowany na tak ciężkie razy, gdyż ściana jedna wzruszoną została aż do fundamentu, a z okien o bardzo grubych szybach nie pozostało śladu. Szkoda materyalna, którą nam ta ostania próba zrobiła w porównaniu z niesłychanie małym rezultatem negatywnym dla lufki powstrzymała nas od robienia dalszych doświadczeń, zwłaszcza, że przekonaliśmy się o tak znacznej i bezsprzecznej wyższości lufek Kruppa nad naszemi.

S. Szembek.

„WILCZY KSIĄŻĘ“.

Z opowiadań starego ukraińskiego strzelca.

Pomimo niepewnej pogody jesiennej, dzień ten należał do przyzwoitszych. Zrana było trochę pochmurno, przez kilka chwil nawet kropił drobny kapuśniaczek, potem jednak nastąpił przełom. Chmury rozeszły się, wicher ucichł i jasne słońce wesoło wyjrzało z poza szarych obsłon.

Polowanie, na którem byłem z kilku towarzyszami, było pomyślne. Gończe pracowały doskonale i na długo przed śniadaniem, mieliśmy już trzech mykitów i kilkanaście kotów. Po lesie grzmiały wystrzały jeden po drugim i nie byłbym opuścił zagajnika, gdyby nie piekielne pragnienie. To zmusiło mnie w końcu do zejścia ze stanowiska. Udałem się do „Białej Studni“ czyli, jak ją jeszcze nazywano, do „Grzmiącego Strumienia“, słynącego z swej doskonałej wody na całą okolicę. Pragnąc sobie skrócić drogę, poszedłem przez ścierniska, wrzynające się klinem w las. Dopiero tutaj, w zaciszu, słońce przypiekało, jak podczas lata.

Z szczególnem też zadowoleniem dotarłem wreszcie do polanki, gdzie miękki, łagodny cień lasu nakrył mnie swoim dobroczynnym płaszczem. Wprost od polanki rozpoczynał się i ten porosły drzewami i ubrany w jesienne kwiaty zielony pagórek, z pod którego z szumem tryskało owo ożywcze źródło: „Grzmiący Strumień“. Ogromne to łożysko — niezwyczajnie kręte i choć na pozór płytkie, a jednak głębokie -- spuszczało się w dół, w tę nieruchomą, zielonawą ciemność lasu i długo, długo błądziło po lesie, szukając dla siebie wolnego wyjścia na równinę.

Wszystko dokoła mnie przesiąknięte było świeżością i potężnym spokojem.

Na samej polance szczebiotały szczygły, rozsypawszy się po brzozach, dotkniętych już złotem i purpurą, tu i ówdzie słychać było melodyjny śpiew wilgi, która to jakby flet leśny wywodziła czułe swoje trele, to znowu wykrzykiwała ostro i nieprzyjemnie, jak przygnieciona kotka, a następnie, zerwawszy się, figlarnie unosiła się wśród gałęzi, przesuwając się wśród nich, jak jasna, złotawa gwiazda.

Nad ścierniskiem ćwierkały drozdy i jarząbki, unosząc się w niewielkich stadkach.

Z każdym krokiem w głąb lasu cisza stawała się coraz poważniejszą. Wilgoć, mrok i cisza leśna coraz więcej mną owładały. Samotna pliszka, siedząc na gałązce, nieśmiało wygwizdywała swą piosenkę, a jakby na przekór jej monotonnie dzwoniła zaczepna sikora, dalej z głębi kotliny dochodziło do uszu to krakanie gawrona, ulatującego nad lasem, to stuk dzięcioła, wiercącego dziurę w starym dębie.

Dziwny ten koncert zmieszanych odgłosów, powstałych z najróżnorodniejszych przyczyn, zdawało się, tylko potęgował tę przygniatającą ciszę, panującą dokoła.

Żółtawa już, na pół zeschnięta trawa, zawalona opadłem liściem, smutny wydawała szelest pod nogami. W duszy mimowoli stawało się smutno, a jakiś ciężar niewidoczny jakby przygniatał piersi, to też z radością spostrzegłem doskonale mi znany strumień, do którego tak dążyłem. Wśród traw i pokrzywionych korzeni wił się jak wąż, tu i ówdzie tylko błyszcząc w słońcu w zielonawym półmroku lasu.

Był to tak przezemnie upragniony „Grzmiący Strumień“. Rzeczywiście grzmiał, bijąc z pod skały i wpadając w głębokie, niebieskawe jeziorko, kształtem swym przypominające jajko. Czysta jak kryształ woda cicho kłębiła się,

a na jej powierzchni tworzyły się bańki, jak mydlane, świecące się wszystkiemi barwami tęczy.

W tej chwili przybiegły do mnie z głośnem i niebardzo przyjacielskiem szczekaniem cztery gończe i dopiero opędziwszy się im, spostrzegłem dwóch strzelców w bliskości źródła tuż nad brzegiem jeziorka.

W pobliżu palił się niewielki stos gałęzi, z którego cienkiem pasmem wił się w górę delikatny, niebieskawy dymek. Starszy ze strzelców, trochę przygarbiony, ale jeszcze krzepki i nawet piękny, siwy staruszek mimowoli przykuwał do siebie uwagę patrzącego nań.

Schyliwszy się nad jeziorem i skreśliwszy krzyż dnem dzbanka, zaczerpnął wody. I zielona kurtka i wszystkie przybory myśliwskie tego siwobrodego strzelca wyglądały coprawda bardzo staromodnie, ale mimo to, a może właśnie dlatego nadawały swemu właścicielowi poważny i poetyczny wygląd prawdziwego, zagorzałego łowca. Każdy przedmiot znajdował się na swojem miejscu, ulokowany zręcznie, a nawet, rzekłbym, artystycznie.

Przeciwnie długa, niezgrabna postać jego szczupłego, wązkiego w ramionach towarzysza wywierała wrażenie czegoś głupiego, a nawet nieprzyjemnego. Niezgrabnie wyciągnąwszy nogi na ziemi i oparłszy głowę na chudej ręce, niedbale i jakby osłupiałym wzrokiem spoglądał w moją stronę, patrząc, jak się do nich zbliżam.

Pozdrowiwszy ich, usiadłem na ziemi i z chciwością przytknąłem usta do dzbanka. Przez cały czas, gdy piłem, starzec z uszanowaniem stał bez czapki, pochylony cokolwiek naprzód, a jednocześnie jego wielkie, siwe oczy, wyglądające z pod krzaczastych brwi, bystro i rozumnie badały postać moją od stóp do głów. Młodszy również spoglądał na nas obydwóch, nie zmieniając pozy. Sądząc po jego bladej, zmęczonej twarzy, wydawał się poważnie chorym.

— Proszę, odpocznij pan i posil się z nami tem, co Bóg dał — rzekł starzec, wskazując uprzejmie miejsce swą szeroką, żylastą dłonią tuż przy płonącym stosie.

Tam, nad płomieniem, czernił się mały kociołek z bigosem, w kupce gorącego popiołu piekły się kartofle, obok na kawałku papieru leżały chleb, sól i nożyk.

— Czas coś przetrącić — ciągnął starzec, uśmiechając się dobrodusznie i podając mi swoje prowianty — już i polować niema na co. Zdawałoby się, że sam Klicki owładnął temi miejscami. Wczoraj jeszcze słyszałem, że polował na Pawłówce, a dziś rano dochodziły mnie jeszcze dźwięki jego rogu. Niedarmo i zając przebiegł nam drogę z tej strony... pamiętasz, Olesiu, w krzaki poszedł?

— Eh, co wuj opowiada -- roześmiał się młodszy, pokazując wielkie, żółte zęby. Krowa gdzieś zaryczała, a wuj sądzi, że Bóg wie co.

Starzec, który w tej chwili pił wodę, nie śpiesząc się wcale, obtarł srebrzystą brodę i spokojnie spojrzał na mówiącego.

— Ej, ty młokosie — rzekł, kiwnąwszy głową. —Widocznie zapomniałeś o przysłowiu: „uczonego uczyć, martwego leczyć — psu na budę się nie zda!“ A jeżeli chcesz wiedzieć, to ci powiem, że i róg Klickiego nie taki sobie zwykły, to jest nie taka mosiężna trąba, lecz prawdziwy róg, turzy, a dmie w niego także nie człowiek zwykły, lecz myśliwy zagorzały i w dodatku Polak czy Litwin — bo tylko w Polsce i na Litwie słyszałem taką grę, gdym z nieboszczykiem dziedzicem, świeć Panie jego duszy, stał z pułkiem w tamtych stronach. A był to rok 1830! Tam jeszcze tylko takie rogi robią, że to nie żal pochwalić. Głosowi ich rogów przysłuchiwały się same zwierzęta, dlatego, że ci trębacze znali wszystkie głosy zwierzęce i sygnały umieli dawać wszelakie: wszystko, co się tylko w lesie stało, wszystko wyśpiewał, wygrał, wymówił niemal na rogu.

Strzelec w zapale chciał jeszcze coś powiedzieć, nagle jednak urwał i nachyliwszy głowę na bok, z jakiemś nabożeństwem zaczął się wsłuchiwać w dźwięki, które niespodzianie polały się z oddali, napełniając sobą las cały. Gończe zaniepokojone również nastawiły uszy i spoglądały bacznie w stronę, zkąd dolatywały dźwięki.

Z początku drżały one w powietrzu jak przeciągły tryl czule i żałośnie wznoszący się pod strop niebios, potem zmężniały dźwięk jak żywy ptak przesunął się po wierzchołkach drzew, a tam śpiewne dźwięki basowego rogu rozlały się szerokim kręgiem i wzniosły się o potężną oktawę wyżej, podobne do charczenia ranionego dzika.

Teraz i ja zrozumiałem, że na rogu grał nie gołowąsy student, lecz prawdziwy, starodawny łowiec, a przytem majster w swoim zawodzie. Nawet Oleś podniósł się trochę z ziemi, zsunął czapkę na tył głowy i zdziwiony otworzył usta, a psy ujęte przez Szymona — gdyż tak było staremu na imię — na smycze, zaczęły naszczekiwać, rwąc się niecierpliwie w głąb lasu.

— No i cóż, Olesiu, może jeszcze powiesz, że to krowa ryczy? — zauważył z przekąsem stary strzelec; — Bieda, to bieda — mruknął — że teraz wszyscy staliście się mądrymi, zanadto mądrymi: sami o niczem nie wiecie, a uczycie starszych od siebie... a stary Szymon już dawno zapomniał o tem, czego ty się jeszcze dowiesz, a może i nie dowiesz.

Chociaż po raz pierwszy dopiero spotkałem się z Szymonem, jednakowoż znałem go dobrze z opowiadania. Cała okolica lubiła i szanowała tego starca za jego poczciwe serce i uczciwość rzadką. Myśliwy to był w istocie niezwykły; zwyczajnie nazywano go strzelcem, chociaż w swoim czasie doskonałym był dojeżdżaczem. W tym charakterze wsławił się tem, że z podobnym sobie zuchem zagnał olbrzymiego łosia na jezioro, gdzie też napędziwszy go na głębinę, spętał go smyczą i przywiózł do domu. Rzadko kto umiał tak doskonale tresować sokoły i polować z nimi na kaczki, zastawiać łapki na lisy i kuny, zarzucać sieci w rzece lub o wschodzie słońca rozciągać siatki w prosie na przepiórki. Zbytecznem dodawać, iż te wszystkie przybory myśliwskie Szymon robił sam własnoręcznie i nadzwyczaj dokładnie. Zwyczaje i obyczaje zwierząt i ptaków znał doskonale i umiał z łatwością przepysznie naśladować ich głosy.

Słowem Szymon był typowym przedstawicielem starego pokolenia doświadczonych i namiętnych myśliwych, tego typu, który teraz szybko i bez śladów wymiera, a którego miejsce zajmuje teraz typ zupełnie inny, wcale niesympatyczny.

Broń i psy Szymona były jedynemi na całą okolicę, a otrzymał je w spadku po nieboszczyku dziedzicu, który na takie rzeczy tracił szalone pieniądze.

Ucieszyłem się wielce z przypadkowego spotkania z Szymonem i wszelkimi sposobami starałem go się wyciągnąć na słówka. Zaproponowałem mu też łyk śliwowicy z mojej manierki. Ale i po wypiciu tej doskonałej wódki piękna twarz jego, z wybitnymi, męzkimi rysami, jeszcze długo nosiła na sobie piętno jakichś smutnych rozmyślań.

— Tak — przemówił nareszcie Szymon, oddychając ciężko — teraz się wszystko zmieniło! Co polowań, co myśliwców — a wszystko takie jakieś dziwne! Sroka nie zdąży jeszcze uwić sobie gniazda, a już pastuchy wykalają jej oczy kijami. Lasy wyrąbane, błota i wygony poorane, tak,

że nawet cielę nie ma o co obetrzeć kurzu z nosa. A i myśliwi teraz — żal się Boże!... Dawniejsi dojeżdżacze, a i wogóle strzelcy byli przywykli do swego zawodu i zrośli jakby z nim, mając przedewszystkiem na oku pańskie dobro, a teraz... kto chce, podejmuje się tego obowiązku. Wprost od pługa idzie na strzelca! Niejeden i w róg nie potrafi zadąć, jak się należy, jak zatrąbi to tak głupio, że i psy, wtuliwszy ogon między nogi, uciekają od nich, gdzie ich oczy niosą! Wtedy to, wtedy, u nas, po tamtej stronie, w Polsce, to były prawdziwe polowania. Panów było mnóstwo, byli bogaci, jeden nad drugiego się sadził, a każdy występował okazale. Nieraz bywało, jak ruszymy do kniei — to jakby wojsko szło. Konie wspaniałe, uprząż i broń srebrem nabijane, dojeżdżacze jeden w drugiego chłopy jak dęby, a o psach, to już i mówić niema co! Wszystko to rasowe, wierne i na wszelkim zwierzu wypróbowane. A polowania — pierwszorzędne! Były tam takie drzemiące lasy, że nigdy w nich noga nie postała ludzka, od początku świata samego. Nie było im końca i granicy. Tu biały dzień, a tam, choć słońce nad drzewami świeci, noc czarna jak piekło. Jeden leśniczy, który mieszkał tuż przy puszczy białowieskiej, opowiadał mi — a miał już wtedy sto siedm lat — że w młodych latach sam widział i „cmentarz zwierzęcy“.

— Jakto? — zapytał z zaciekawieniem zdziwiony młodzieniec.

— A tak — ciągnął dalej Szymon, zniżając tajemniczo głos — tak to było. Była tam jakaś uroczystość, a on widocznie podpił sobie troszkę i w drodze do leśniczówki zabłądził.

I taki, opowiadał, napadł na mnie tuman, że przez całe dwa tygodnie łaziłem po lesie, nie mogąc się w żaden sposób wydostać na świat Boży.

Wtedy to zaniosło go coś na ten „cmentarz zwierzęcy“. Ukazała się przed nim taka polana, morgów ze trzysta albo więcej, w samym środku drzemiącego lasu, a ze wszech stron otaczało ją błoto nie do przebycia, a w środku polany świeciło się jezioro, z którego tu i ówdzie wypływały głębokie, a bystre strumyki. Tam to znajdował się też „cmentarz zwierzęcy“.

Ćma, powiadał, cisza, smród piekielny, a w dodatku starych, zwalonych kłód co niemiara. A woń zgnilizny rozchodziła się dokoła okropna i zabijająca, że to dziw zaprawdę. Spojrzysz — niby to drzewo leży, jakby żywe i mchem zielonym porosłe, takie, jak z ziemi wychodzi, a wielkie, że zdaje się nie przeleziesz przez niego — a stąpisz nogą, to się rozwali i rozsypie w próchno.

(C. d. n.)

DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał

ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Zazdrośna Emilka była jak struta i zaczęła robić awantury zazdrości. Przestraszona babunia Honorata, obawiająca się wprost skandalu, zawezwała swego wnuka Narcyza i poleciła mu przestrzedz Owczyńskiego, żeby głupstw nie robił i nie drażnił niepotrzebnie narzeczonej, bo ona gotowa rozgniewać się zupełnie i zerwać ułożone małżeństwo, które jest dla Owczyńskiego olbrzymim losem wygranym na życiowej loteryi.

Narcyz znał zanadto dobrze Jasia i wiedział, że podobna perswazya musi wywołać przeciwny skutek, postanowił więc w inny sposób zrobić go nieszkodliwym... Wraz z rotmistrzem Białogrodzkim zwerbowali Jasia do małej salki jadalnej, gdzie ustawione były całe baterye butelek i tam próbowali spoić go do tego stopnia, żeby poszedł spać.

Projekt był dobry. Jaś miał się za tęgą głowę, a w rzeczywistości dużo pić nie mógł, bo wkrótce wpadał w dziwny stan rozczulenia i zupełnej niepoczytalności, przeciwnie zaś rotmistrz Białogrodzki i Narcyz nie pijali prawie nigdy, ale w danym razie byli obaj w stanie wypić niezmierzone ilości najprzeróżniejszych trunków, bez żadnego widocznego skutku.

Ja z Kondraszkiem przypatrywaliśmy się z ogromnem zajęciem tym pijackim zapasom.

Zrazu szło wszystko dobrze, pijatyka zaczęła się podczas przestanku po polce, a przed mazurem. Jaś pobudzony żartami rotmistrza, pił jak smok, a pił stare, niebezpieczne wino, które niejednego zuchwałego szlachcica z nóg już zwaliło... Tego samego skutku byłby się i Jaś doczekał, tymczasem muzyka zaczęła grać skocznego mazura... Z pośpiechem dopił kielicha, szkłem rzucił o ziemię i mazurowym krokiem pośpieszył do sąsiedniego salonu, nie zwracając najmniejszej uwagi na zatrzymujących go rotmistrza i Narcyza. Wszedłszy do salonu nawpół przytomny zaczął szukać wzrokiem Marci, która tymczasem, zgromiona przez babunię, wypłakiwała się jeszcze w gościnnym pokoju. Nie spostrzegłszy wnuczki, Jaś posunął do jej babki. I wówczas byłem świadkiem najkomiczniejszej sceny, jaką mi się kiedykolwiek w życiu zdarzyło widzieć...

Nawpół nieprzytomny, długonogi Jaś z wyrazem najwyższego rozczulenia na twarzy i łzami w swych poczciwych oczach padł na kolana przed panią Daszkowską i zaczął przestraszoną staruszkę z ogromnym zapałem całować po rękach.

W salonie zapanowała grobowa cisza. Moja babunia i babka Honorata siedziały martwe jak dwa klasyczne posągi. Emilka zawisła na ramieniu swej matki i przygotowywała się do efektownego zemdlenia... Wszyscy byli pewni, że podpity Jaś publicznie oświadczy się pani Daszkowskiej o rękę jej wnuczki, Marci. Tymczasem stało się coś zupełnie niespodziewanego. Jaś całując namiętnie ręce staruszki, szepnął nad wszelki wyraz czułym głosem:

— Babuniu! Ja babunię kocham!

— Co? — zawołała staruszka i gwałtownie starała się wyrwać swą rękę z tych dziwnych uścisków.

Nic nie pomagało. Jaś mówił coraz głośniej:

— Ja babunię kocham nad życie... Ja się babuni oświadczam... Ja się muszę z babunią ożenić.

— Co ten człowiek plecie! — wołała rozbawiona już śmiesznością swego położenia staruszka.

— Nic nie plotę... To wszystko prawda... Ja bez babuni żyć nie mogę... Ja muszę się z babunią ożenić... Ja babunię kocham... kocham nad życie.

W ślad za Jasiem wbiegli byli do salonu Narcyz i rotmistrz, lecz wobec tej dziwacznej sytuacyi stali nieradni, nie wiedząc zupełnie, co mają robić... W oczach jeszcze dziś mi stoi sucha i piękna twarz rotmistrza, spoglądająca ironicznie na klęczącego u stóp siedmdziesięcioletniej staruszki Jasia; w ręku trzymał rotmistrz duży kryształowy puhar starego węgrzyna, który przez zapomnienie przyniósł z sobą ze sąsiedniego pokoju... Nagle błysnęło coś figlarnie w czarnych oczach rotmistrza, zbliżył się do Jasia i dotykając wolną ręką jego ramienia, szepnął:

— Jasiu! Ty doprawdy tak kochasz babunię?

Jaś z oburzeniem odpowiedział:

— Jeżeli nie wierzysz temu, to jutro się rozmówimy.

— Uwierzę — przerwał mu Białogrodzki, jeżeli dasz dowód tej miłości... Wypij na klęczkach zdrowie babuni.

I podsunął mu puhar wina. Owczyński chwycił go i z chciwością, jednym haustem, do dna wychylił... Puhar byłby upadł na ziemię, ale Narcyz w czas go pochwycił z bezwładnych rąk Jasia.. Głowa serdecznego chłopca opadła bezwładnie na kolana, teraz już naprawdę przestraszonej staruszki, a z zaciśniętych ust wyrwały się słowa:

— Kocham babunię! Z babunią się ożenię!

Rotmistrz i Narcyz chwycili go za ręce i mimo słabego oporu wyprowadzili do gościnnego pokoju.

Po tym tragi-komicznym epizodzie zabawa potoczyła się z szalonem ożywieniem. Wszyscy byli rozbawieni do najwyższego stopnia, a sama pani Daszkowska cieszyła się ogromnie i opowiadała ze śmiechem wszystkim paniom, że nie spodziewała się, by w tak późnym wieku i po czterdziestu latach wdowieństwa, znalazła tak młodego, pięknego pretendenta, który się jej publicznie, głośno w salonie oświadczył... Jedna tylko Emilka Korkoszewska nie miała zupełnie humoru, tańczyła jak struta i przy pierwszym brzasku dnia zmusiła matkę, że bez pożegnania wyjechała cichaczem z Pomianówki... Jaś tymczasem syt sławy i... starego wina, spał w Narcyzowym pawilonie i śniło mu się, że się ubiera do ślubu z Marcią Rawiczanką...

(C. d. n.)



*

Cisza w koło, wiatr nie szumi
Pośród koron drzew,
Nawet leśnych piewców rzeszy
Umilkł cudny śpiew.

*

Sarna ciszą zestraszona
Pędzi w dal i mknie
Sama jedna, a do swoich
Tak się serce rwie.

*

A tych swoich do okoła
Już zaginął ślad,
Jednych kula położyła,
Drudzy poszli w świat.

*

Dzisiaj sama się została —
I jakże tu żyć?
Raczej prosić, aby prędzej
Pękła życia nić.

*

Czekaj, przyjdzie ty sieroto,
I na ciebie czas,
Gdy się drzewa skryją w liście
I zaszumi las.

*

Przyjdzie taki zgrabny, młody,
Wlepi w ciebie wzrok, —
I ty więcej nie sierota,
Pójdziesz za nim w krok. —

KORESPONDENCYE.

Podkamień w maju.

. (O toku cietrzewi.)

W ostatniej mojej korespondencyi już spostrzegłem sam w sobie dziwne podobieństwo do Pana Jowialskiego, który mówił zawsze: „Słyszeliście? Więc słuchajcie“. Przeprosiłem wprawdzie za to szanownych czytelników „*Łowca*“ i obiecałem poprawę. Z nałogu jednak, jako tyloletni korespondent naszego ukochanego organu, (bo od początku jego istnienia), czuję znowu potrzebę tam moje trzy grosze rzucić, bo w tym kierunku, (proszę mi wybaczyć nieestetyczne może wyrażenie), pióro mię ciągle świerzbi. Ośmielam się przesłać znowu kilka słów, które może będą na czasie, bo to nastała myśliwska pora ogórkowa, i wątpię, aby inne sprawozdania z łowów, teraz napływały: może więc i ten artykuł zajmie jakieś miejsce w szpaltach *Łowca* bodaj takie, jak próżna beczka w barykadzie. Powracam więc znów do roli pana Jowialskiego: „Słyszeliście? Więc słuchajcie.“ Prawić znów będę o toku cietrzewi, o tem, w przekonaniu mojem, obok toku głuszca, najwyższem polowaniu, które prawdziwemu myśliwemu, zawsze nową sprawia rozkosz. Przebaczcież mi więc bracia moi w św. Hubercie, że znowu w tym kierunku waszej nadużywam cierpliwości, przebaczcie staremu maniakowi, dla którego te łowy stały się ideałem i nad któremi od lat przeszło 20 ciągle pilnie spostrzeżenia czyni.

Z siedemnastu poranków, spędzonych tej wiosny na łowach, w krótkości złożyć pragnę sprawozdanie, a gdy już pisałem o spostrzeżeniach moich zebranych na Podgórzu karpackiem, wspomnę o mej wyprawie do uroczej bełzkiej ziemi. — U pana Jana Urbańskiego w Poddębcach, słynnych z nadzwyczajnych toków, mniej świetnie łowy wypadły, niż w zeszłym roku, z powodu kaprysów tegorocznej wiosny, tego istotnego utrapienia dla rolnika i dla myśliwego. Ale bo też w istocie, ile te chmury tej wiosny łez wylały! I nad czem to niebo tak ustawicznie płakało? Czy nad niefortunnym wynikiem wyborów w Galicyi? Czy nad niepowodzeniami oręża greckiego? Czy może nad kłopotami naszych ministrów w parlamencie?... Byłem tu świadkiem znakomitych strzałów księcia Andrzeja Lubomirskiego. W dwóch porankach zabił 4 koguty, z których 2 kulami na wielką odległość. Widać książę przywykł strzelać grubego zwierza w komorę — tak samo oba koguty trafione były kulami w okolicę serca. Toki widocznie nie były jeszcze ustalone i przelatujące ciągle kury, przenosiły z miejsca na miejsce swoich konkurentów, tak że w wilią postawione budki na wypatrzonych tokowiskach, nazajutrz okazywały się nieużytecznemi, strzał bowiem dany do grających cietrzewi spłaszał je jeszcze, nazajutrz na to miejsce nie wracały i o kilkaset kroków dalej rozpoczynały swoje igrzyska. Obznajomionemu już z dawna z tą praktyką, te ich wybryki niespodzianką dla mnie nie były. Dopiero dnia 9 maja, wskutek zawiadomienia wyuczonej przezemnie straży leśnej w Dmytrowie, udałem się tam, jak co roku o tej porze, dla inspekcyi lasów, ażeby skorzystać z tamtejszych znakomitych cietrzewich toków. Raporty były bardzo pomyślne; na tokowiskach, gdzie grało w kwietniu zaledwie kilka kogutów, teraz w wielkiej ilości pozlatywało się czarne ptactwo. Bardziej, niż kiedykolwiek, przyszedłem do przekonania, iż słuszne jest moje twierdzenie, że u nas dopiero z początkiem maja, w czasie, gdy kury już zasiedą na gniazdach, prawdziwy, ustalony tok cietrzewi się rozpoczyna. Niezbite mam na to dowody w moich tyloletnich notatkach, a i to czyż nie jest dowodem, że na rozległych łąkach, otaczających rewir straszowski, w kwietniu zaledwie kilka grało kogutów, a teraz w przybliżeniu nawet nie śmiem ich liczby określić, z obawy, by nie popaść w podejrzenie przesady. Ani ja z moim strzelcem, ani rozstawiona straż leśna, nie zdołała dokładnie obliczyć ilości grających cietrzewi na tych obszernych łąkach. Stan tego ptactwa widocznie bardzo się powiększył od zeszłego roku. Widocznem jest z tego, że błędne jest mniemanie niedoświadczonych i mało z obyczajami cietrzewi obznajomionych myśliwych, którzy wczesne kwietniowe toki za prawdziwe uważają. Z resztą w tym kierunku odezwała się już pierwszorzędna powaga, bo Władysław Spausta, który dobitnie poparł twierdzenie moje, co do ustalonych toków, a oraz w prześlicznej swej monografii cietrzewia, wykazał szkody wyrządzane zwierzostanom przez zbyt wczesne niepokojenie toków. Przyszedłem też do tego przekonania, że ci niedoświadczeni łowcy, przedwcześnie uczęszczając na tokowiska, gdy koguty niepokojone przez przelatujące kury, nad wyraz wszelki jeszcze są płoche i czujne — strzałem, lub pokazaniem się z budki, wypłaszają koguty, które już nazajutrz zwykle nie powracają i innych szukają legowisk. Z tąd to błędne mniemanie, że już z końcem kwietnia toki się kończą. Nie są one skończone, tylko popłoszone cietrzewie w inne się udały strony, ale swoją śpiewkę z pewnością gdzie indziej odśpiewają. — Kto temu nie wierzy, niech spędzi w celach badawczych z kilkanaście poranków w różnych porach trwających toków, a najlepiej się o prawdzie przekona. Nie przeczę że urok ma także widok nadobnych cieciorek, które jak zalotne niewiasty, co chwila wykradają i na błędne drogi gdzieś uwodzą w lasy jakiegoś roznamiętnionego kochanka.

Z dziwną punktualnością o godzinie 3 minut 20 rozpoczynała się gra w Dmytrowie, a po godzinie 6, jakby na dany znak, całe zastępy naraz odlatywały z łąk do lasów, a tak były głuche na strzały, że jednego poranku spuściłem z budki jastrzębia, przelatującego po nad tokowiskiem, a żaden kogut z miejsca się nie ruszył. W Poddębcach było jeszcze całkiem inaczej, bo tam z niewiadomych przyczyn, bardzo nieregularnie rozpoczynały się igrzyska.

Do rzędu najciekawszych epizodów zaliczyć mogę pojawienie się dnia 12 maja białego jak śnieg koguta. Oczom moim zrazu nie wierzyłem, ale uwierzyć musiałem moim binoklom. Siedział odemnie nie dalej jak na kroków 150; przez silne szkła mogłem mu się więc przypatrzyć bardzo dokładnie. Pyszne korale ślicznie odbijały od jego białej główki, a tylko kończyny skrzydeł były czarne, wspaniałe lica śnieżnej barwy. Może to było i złudzenie optyczne, ale mi się wydawał nieco mniejszy od swoich czarnych braci.

Męki, jakie przebywałem, opisać się nie dadzą, chyba nieboszczyk Tantal o nich miał wyobrażenie. Widok tego czarownego ptaka nietylko pobudził moją żądzę myśliwską, ale oraz był niejako wskazówką drogi wiodącej do unieśmiertelnienia mego nazwiska. Bo też w istocie dostarczenie do muzeum tak ciekawego okazu, pewniejszą mi się wydaje drogą do nieśmiertelności dla dostawcy, niż nieśmiertelne czyny tak wybitnych nawet mężów stanu jak np.

Daszyński, Franko, Okuniewski i Kozakiewicz. Niestety! droga do nieśmiertelności nie jest tak łatwą, jakby się zdawało, i często małe i błahe powody stają na przeszkodzie wielkim celom i wieniec sławy odpada od skroni w chwili, gdy miał jej dotknąć. Pierwszą taką przyczyną był nieznośny bocian, który Bóg wie poco zjawił się na tokowisku i zamiast szukać żab, jaszczurek i podobnych przysmaków, zaczął uganiać za tokującymi cietrzewiami, które, co prawda, nie wiele sobie z niego robiły. Wątpię, ażeby ten dziwak wyprawiał to w celach łowieckich, może także czynił ornitologiczne spostrzeżenia, dość, że ten szczególny sport jego pozbawił mnie wkrótce widoku białego koguta. Przypominając sobie tę wyrządzoną mi psotę, mniej żalu uczuwam do ukazu w grodzieńskiej gubernii, który bociana za szkodnika ogłasza, i nakłada cenę na jego głowę. Tępienie szkodników jest wielką zasługą, a że bocian nim jest, to dowiedzione i za to chyba tylko winniśmy mu wdzięczność, że się tam kiedyś gnieździł nad Piastowską strzechą. Tępienie szkodników bardzoby się i u nas zdało, ale takie prawo spotkałoby się z niczem nieprzełamaną opozycyą, wielu bowiem wybitnych mężów stanu, uważałoby taką ustawę za osobistość i czuliby zagrożoną swoją własną egzystencyę. Nie zważając już wcale na zastępy tokujących czarnych kogutów, ostatnie dwa poranki poświęciłem zasiadkom na albinosa i w tym celu, chcąc go dostać koniecznie, zmobilizowałem i uzbroiłem legion ochotników, ale ci nie okazali się pożyteczniejszymi od legionów w armii greckiej, więc i moja kampania, mniej więcej tak wypadła, jak grecka. Ach, biedna nasza polska ziemio! pocóżeś dała przytułek — żydom i bocianom?

Nazajutrz biały ptak przybył znów z innymi, ale dalej jeszcze usiadł od mojej budki. Słońce już było wysoko, gdy opuścił tokowisko i zapadł na roli, którą otaczały gęste krzaki. Z bijącem sercem zacząłem go podchodzić pełzając jak wąż pomiędzy krzakami i niema wątpliwości, że byłbym go podszedł na 40 kroków, gdy w tem z krzaku, o który lufą zawadziłem, zerwała się nadobna cieciorka, która tam na gnieździe siedziała. Śród katastrof życia często zdarza się nam powiedzieć: „Cherchez la femme", ja zaś tu powiedzieć musiałem: „Cherchez la poule", bo porwanie się cieciorki, gdakającej z przestrachu, było sygnałem do ogólnej ruchawki i tok na dziś przepadł! Dnia 14 maja ostatnią przedsięwziąłem próbę z białym kogutem, a dodać muszę, że te dwa ostatnie poranki, były najświetniejsze co do ilości cietrzewi i ich namiętnej gry. Mój albinos przybył znowu i już mnie chętka brała spróbować do niego sztućcowego strzału — ale byłoby to niedorzecznością z powodu dwóch alternatyw: pierwszą było najprawdopodobniejsze chybienie i spłoszenie go lub w przeciwnym, szczęśliwszym wypadku, rozszarpanie kulą tak cennego okazu, Dręczony byłem gorączką myśliwską, gdy usłyszałem za sobą kroki i wszystkie cietrzewie naraz się zerwały. Struchlałem! Stał przedemną leśniczy z sąsiedniego rewiru, mój dawny znajomy który dowiedziawszy się o mojej bytności, tę chwilę za najstosowniejszą uznał, by się przypomnieć mojej pamięci i dowiedzieć się o zdrowiu mojem i mojej rodziny. Za taką troskliwość i tak dobre chęci, uczułem wprawdzie w sercu niekłamaną wdzięczność, a jednak na język mi się cisnęły różne piękne, choć niewygłoszone wyrazy, któreby były świetnie wzbogaciły ów obfity repertuar estetycznych wyrazów, którymi się posługują z taką elegancyą liberali niemieccy w wiedeńskim parlamencie Cietrzewie już nie powróciły i wymarzony wieniec nieśmiertelnej sławy nie dotknął mojej skroni.

Na tem skończyła się moja tegoroczna wyprawa, z której wyniosłem 11 cietrzewi. 15 maja musiałem wyjechać do Lwowa, jak się później pokazało na to — aby się spotkać na ulicy Trzeciego Maja z owym słynnym cyklonem, który w ogrodzie miejskim tyle narobił spustoszeń.

Leopold hr. Starzeński.

Kłodno 16. maja.

[Stan zwierzyny w Bilce i Kłodnie. — Walka z lisami. — Polowanie na nie z chartami. — Drapieżność ich. — Zające. — Sarny. — Dziki. — Schwytanie 4 żywych warchlaków. — Ciąg słonek. — Tok cietrzewi.]

Zachęcony wezwaniem szanownej redakcyi do dzielenia się wiadomościami i spostrzeżeniami na polu łowiectwa — z całą gotowością, w miarę sił, czem chata bogata, oddaję się na usługi Dyany — i bez pretensyi literackiej — jedynie jako zamiłowany leśnik — myśliwy, mając jednak za sobą przeszło 20-letnie doświadczenie — wprost tak jak widzę i odczuwam spostrzeżenia swoje notować będę w łamach ulubionego naszego pisma łowieckiego.

Od lat 4, odkąd zarządzam lasami w 3 odległych i rozległych majątkach księstwa Janów Sapiehów, powierzony mi także został i dział łowiecki. Tej okoliczności, jak również wysoce dobrym chęciom, zamiłowaniu i wytrawnego zrozumieniu rzeczy przez mego pryncypała — zawdzięczam — że usiłowania i praca na tem szlachetnem polu znajdując wszechstronne poparcie i uznanie, w skutkach cel swój osiąga. Co za rozkosz w takich warunkach pracować — zrozumie — kto myśliwy.

Na razie — niby forpocztowy bój, ograniczę się tylko na podzieleniu się z szanownem gronem myśliwych o bieżących sprawach łowieckich w powierzonych mi rejonach łowieckich.

Zima lekka — mało śnieżna — korzystną i sprzyjającą była dla wszelkiej zwierzyny. Krótki czas tylko podawać trzeba było karmę dla kuropatw i bażantów, które w Bilce szlacheckiej w stanie dzikim dobrze się wiodą.

Wypowiedzianą wojnę — na śmierć i życie — rodowi lisiemu — pomimo bezśnieżnej zimy ustawicznie prowadzono — i dotychczas się ją prowadzi. Zaznaczyć muszę, że sezon 1896/7 wykazał znaczny ubytek lisów — widocznie odbyły wędrówkę w inne strony — gdzie? — dobrzeby było wiedzieć.

Lisy tępi się — strzelbą i jamnikiem w każdej porze. — W Kłodnie na wielkich obszarach pól, gdzie zastałem spory zastęp tych krwiożerczych, nienasyconych łupieżców — i gdzie niby na stepie — co krok to lisia jama — sprawiłem sobie istną ucztę i rozkosz myśliwską dzięki uprzejmości sąsiada p. Bajewskiego z Kłodzienka. Jako Podolak i amator charciego polowania — ma on 2 smycze doskonałych chartów — z którymi pomagał mi polować. Polowanie z chartami znane mi tylko z opisów i opowiadań, a to z ust tak wytrawnych myśliwych jak hr. M. Tyszkiewicz i mój pryncypał książe Jan Sapieha, wprawiało mię w zachwyt. O ileż wdzięczniejszy byłem za sposobność zakosztowania tej rozkoszy myśliwskiej.

W jesieni, na koniu — znajdowaliśmy lisy tylko w kartoflach — jednego dnia w przeciągu 4—5 godzin uszczuliśmy 4; z tych 3 suki i 1 psa.

Jeden lis szczuty, z rozpaczy że tak powiem — na znaczną odległość w terenie pagórkowatym, uszedł chartom — i przywarował w kartoflach o 2 zagonach. Mieliśmy go za straconego — gdy w tem wrony zdradziły go — bijąc na niego. — Pojechawszy z psami na smyczy widzimy go

o 10 kroków warującego, więc „heco“. Ruszony o 200 kroków był w pysku chartów. W zimie — nie było pola po temu. Jedyny raz po świeżo spadłym śniegu wyruszyliśmy — i znowu szczęśliwie — bo od 7 rano do 1 w południe było uszczutych znowu 4 i znów 3 suki i 1 pies. — Dwa jednak zdołały nieszczute nawet ujść do jamy, których to jam, jak już wyżej zaznaczyłem, na polach pełno. Zawsze jednak nie licząc strzelanych — 6 gniazd na pewno zniszczonych. — Ileż to zajęcy i różnorodnego ptactwa ocalało przed krwiożerczą drapieżnością z jednej, a pieczołowitością o potomstwo swoje z drugiej strony, tego szkodnika rabusia.

Jak znowu bezczelnym jest lis w swej drapieżności — dowodzi fakt — że w Błce w oczach moich i leśniczego o 40 kroków porwał przypatrującego się nam bażanta — którego — mimowoli staliśmy się sprawcami zguby; — a ileż to naocznych wypadków podobnych mógłbym przytoczyć z całego przeciągu lat mego łowiectwa.

Pomimo tępienia — lisy są zawsze i wszędzie. — W bieżącym miesiącu wykopano tu w Kłodnie już 4 gniazda młodych; 17 młodych i 3 starki wydobyto.

Zajęcy w tym roku bardzo dużo — tu przyczyniła się do rozmnoży zajęcy i ta okoliczność, że w roku zeszłym z powodu nieszczęśliwego wypadku śmierci najstarszego syna moich pryncypałów, a nieodżałowanego i najlepszego mego towarzysza wypraw łowieckich śp. księcia Jana — zupełnie nie polowano. — Sprzyjająca wczesna wiosna także do rozmnoży się przyczyniła, to też zajęcy jak królików w Australii. Stan sarn również bardzo ładny. Kozły rogi z scypułu oczyściły i przywdziały letnią szatę. Młodych jeszcze nie widziano. Jako leśnikowi z wiosną płatały mi dokuczliwe figle i psoty wszystkie kultury obgryzając doszczętnie. — Poprzysiągłem im zemstę — obiecując przy polowaniu żadnego kozła nie przepuścić i nie spudłować wbrew przysłowiu: „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi“.

Dla kolegów po fachu i miłośników lasu dowód, że naturalne odnowienie lasu jest większej wagi i doniosłości od sztucznego, kosztownego. Młodniki powstałe z naturalnego obsiewu zostały zupełnie nietknięte. Na brak pożywienia skarżyć się i zwalać winy nie można, tej u nas zawsze podaje się podostatkiem tak co do ilości, jak i jakości. Ucieczka tedy do terowania — lecz nie wiem jak kto — ja bo jestem zawsze contra chemikaliom w przyrodzie — nawet wroga — lisa — truć nie pozwalam, bo mi to wstrętne. Dzików z każdym rokiem mniej — te stale znajdują się tylko w lasach rewiru Kłodno, powiat Żółkiew, i rewiru Wulka mazowiecka, powiat Rawa ruska. W sezonie 1896/7, pomimo że zawsze były otropione w lesie, nie polowano na nie. Udało się mi jednak złapać 4 żywe warchlaki, (3 samiczki a 1 dziczek) w bardzo prosty sposób w urządzoną pułapkę. Dziki te przeznaczone na rozmnożę w lasach poleskich hr. M. Branickiej w Białejcerkwi. Tu muszę wyrazić serdeczną podziękę memu leśniczemu p. Chęcińskiemu za gorliwe, z przejęciem i zamiłowaniem wykonanie moich zarządzeń przy łapaniu tych dzików.

Wiosenny ciąg słonek w lasach pod moim zarządem będących — corocznie bardzo słaby — to też na ciągu bardzo mało słonek pada. W tym roku pierwszą słonkę ciągnącą widziano i strzelano, z przepysznem pudłem, ale 17. marca. Ciąg był krótki — pojedynczo. W okolicy słyszano co wieczora wiele strzałów, zdaje się mi jednak, że większość padła do ciągnących kaczek.

A propos tych ostatnich są wszelkie nadzieje na dobre polowanie — lubo powszednie — lecz zawsze przyjemne, bo w tym czasie, w którymby inaczej strzelba wisiała na kołku

Tok cietrzewi, tyle opisywany i opiewany przez naszych nemrodów jak hr. Leopolda Starzyńskiego, hr. Marcelego Tyszkiewicza, p. Spaustę w monografii: czarnego rycerza — a z nimi przeważnie miałem przyjemność przez lat kilka polować na toku w Wulce mazowieckiej i Chlewczanach, tem Eldorado cietrzewiowem, gdzie swego czasu zarządzałem lasami, w tym roku był znakomity. Od 15-go marca tok był już ustalony. W połowie kwietnia najlepszy — obecnie już tylko tu i ówdzie głucha — jakby rozpaczliwa — pośmiertna przygrywka. Obu towarzyszom w św. Hubercie donoszę, iż żal mi bardzo, że nie byli świadkami jak w Wulce mazowieckiej na łączce, od domku myśliwskiego 200 kroków oddalonej, przez 3 tygodnie z rzędu 15 kogutów tokowało w kupce. Dopiero płoszone kilkakrotnie przez robotników leśnych przy kulturach przeniosły się obok na drzewa.

Z okna, przez binokle, przypatrywałem się po dwakroć będąc w Wulce w sprawach służbowych każdym razem po kilka poranków tym cudnym igrzyskom ze śpiewami — i tu powiem — że lubom myśliwy — ale może dla tego właśnie — poezya wzięła górę nad szlachetną pasyą myśliwską — i tylko z żalem wspominałem, dlaczego nie ma tu naszej drużyny łowieckiej. Z żalem lecz i nadzieją na przyszłość — powiedziałem czarnym rycerzom „do widzenia“, da Bóg na rok przyszły, gdy tu nie sam będę.

Z 12 letniego doświadczenia, a chyba jednego toku nie opuściłem żyjąc niejako wśród cietrzewi — powiedzieć mogę, że tok najlepszy, gdy kury dolatują. Koguty pobudzone, już tak będąc w szale miłosnym (identycznie z ludźmi) głosem cieciorki roznamiętniają się w sposób nie do opisania — i byle głos cieciorki nie był ostrzegającym — bo wówczas — wszystko znika — to nawet strzały z budki nie płoszą kogutów. W takiej porze na toku w Chlewczanach z jednej budki i jednego poranku padło 7 strzałów, a koguty nie zerwały, lecz ciągle dalej swą pieśń miłosną śpiewały. Kto jednak był tym szczęśliwcem — nie powiem.

Władysław Wiśniowski.

Romanów, w czerwcu.

[Licytacye polowań — Kłusownicy].

W tych dniach odbyła się licytacya 63 polowań gminnych w powiecie bobreckim. Do licytacyi stanęła obok kilku właścicieli obszarów dworskich i jednego miłośnika łowiectwa ze Lwowa, przyjaciela ludu, znaczna liczba znanych tylko lub nawet kilkakrotnie karanych kłusowników. Ci ostatni, przeważnie ludzie mniej zamożni, poskładali nawet wadya po 5 - 50 zł. — licytowali polowania we wszystkich w sąsiedztwie zamieszkania ich położonych, a nawet i odleglejszych gminach, wskutek czego podnieśli czynsza dzierżawne do niebywałej wysokości, tak że znając niektórych osobiście, miałem wątpliwość, czy ustawą przepisany 2-letni czynsz, byliby w stanie złożyć — chyba zjednoczonemi siłami.

Obszary dworskie, znając szkodliwość podobnych myśliwych dla gospodarstwa łowieckiego w okolicy, przelicytowały ich ponad rzeczywistą wartość polowania w niektórych gminach — nie dopuściwszy w żadnej gminie kłusownika do dzierżawy polowania.

Na razie odbyło się to kosztem kilkuset zł. rocznie, lecz co będzie po 5 latach, gdy kłusownictwo rozszerzające się z każdym rokiem obejmie wszystkie gminy? czy ob-

szary dworskie wówczas wytrzymają konkurencyę, jeżli ich ustawa w opiekę nie weźmie?

Na uwagę zrobioną jednemu z kłusowników dlaczego się do licytacyi bierze, odpowiedział: „I mybyśmy się także chcieli zabawić czasem, a panowie nas nie dopuszczą.

Ad. Madeyski.

Brody 17. maja.

(Sprawozdanie łowieckie.)

W ubiegłym sezonie myśliwskim padło na 14 polowaniach gremialnych w Brodczyźnie pod zarządem pana Ignacego Frenkla, dyrektora dóbr Brodzkich, na obszarze około 30.000 morgów lasu: 4 dziki, 12 kozłów, 6 lisów, 93 zajęcy, 2 słonki, jeden jastrząb. Rezultat nie bardzo świetny. Przyczyną tego, według mego zdania jest ciągły ruch i niepokój w niektórych rewirach, spowodowany rąbaniem, obrabianiem i wywózką drzewa materjałowego i opałowego, przez co zwierzyna niepokojona wynosi się do spokojniejszych sąsiednich rewirów.

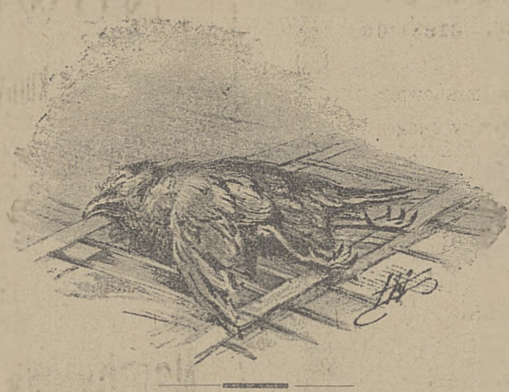
Prócz powyżej pomienionych gremialnie odbytych polowań, polują także leśniczowie sami, na potrzeby kuchni właścicieli tych dóbr. Liczba w tym celu ubitej zwierzyny jest mi niewiadomą; na każdy wypadek niewielka.

Henryk Garwoliński
delegat na powiat brodzki.

ZGINĘŁO PTASZĘ.

Zginęło ptaszę – i już nie zaśpiewa,
Z gardziołka tonów nie popłyną rzeki,
Już pieśń żałobną śpiewają mu drzewa...
Zginęło ptaszę... śpiewak zmilkł na wieki...

Zginęło ptaszę... a tam łąk dywany
Nęcą ku sobie, tonąc w złocie słońca —



Tu leży śpiewak, jak gromem strzaskany,
Gdy dążył w chmury, w przestrzenie [bez końca.

Zginęło ptaszę... Gdy śpiewak natchniony
Chciał uciec z ziemi w kraj piękny, daleki,
Gdy pełną piersią chciał wyrzucić tony,
Serce mu pękło — i zamilkł na wieki...

A. J.

Kronika.

Sprawozdanie z walnego zgromadzenia członków Tow. myśliwskiego im. św. Huberta jesteśmy zmuszeni dla braku miejsca odłożyć do następnego numeru.

Wynalazek Polaka. P. Wojciech Piątek, ślusarz maszynowy, syn obywatela m. Podgórza, wynalazł przyrząd, przy pomocy którego można bez zmęczenia i forsowania rąk strzelać z karabinu, lub ze strzelby jakiegokolwiek systemu. Przyrząd przypina się przed strzelaniem do prawego ramienia po przygięciu wkłada się broń (karabin. strzelbę) do przyrządu w sposób łatwy i szybko; tak usadowiwszy karabin lub strzelbę, może strzelec nawet ręce opuścić, gdyż broń, wsparta na przyrządzie, trzyma się w nim mocno. Przyrząd, ze względu na swą praktyczność, a co ważniejsza, celność strzału, mógłby być z dobrym skutkiem używany w wojsku gdyż można strzelać w trzech pozycyach tj. stojąco, klęcząco i leżąco, a niewątpliwie z zadowoleniem powitają wynalazek myśliwi z powołania, jakoteż amatorowie sportu myśliwskiego, którym odda on wielką przysługę. Nadmienić wypada, że przyrząd ten uzyskał patent w państwie niemieckiem, a pośrednictwo w sprzedaży patentu powierzył wynalazca biuru patentowanemu firmy Hugo Danzinger w Berlinie W., Potsdamerstrasse Nr. 33.

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo: Zamieszczone w kronice 1-go nr. „Łowca“ doniesienie o złapaniu 4 żywych dzików w Kłodnie wielkiem, przez leśniczego p. Chęcińskiego, winienem sprostować o tyle, że dziki te złapane zostały za pomocą zmyślnie obmyślonej pułapki, sporządzonej atoli przez p. Władysława, Wiśniowskiego nadleśniczego dóbr księżnej Seweryny Sapieżyny, a p. Chęciński był tylko organem wykonawczym. *Władysław Radziszewski*, delegat żółkiewski.

Łacina łowiecka.

Myśliwy.

— Czy też zabiłeś choć jednego zająca?
— Nie, ale jednego śmiertelnie — przestraszyłem.

Co to jest karabin?

Żydek cywilny zapytał raz żyda, dawniejszego wojaka: Icek, sug mir, wus is a Gewehr?

Wus is a Gewehr?

A Gewehr ist a eiserne rirki angeczepet an a drąg. In die rirki gibt man perech, aber niszt der perech von der Gasse, sondern a czorny perech. Dann gibt man klake und a zwei Setz? Dann gibt man kigełe, aber niszt die szabeskigel, ale taki von Blei. Dann macht man mit dem języczek zaczepet und der koguczik mach trask, und die panewki macht blask, die ejserne polirowane rirki macht a groise barmider. Megst vin ojben sztajen, megst vin sajten sajn, kimt die kigełe a pacz! und de bist tojt wi a Hind.

Odpowiedzi redakcji.

W. P. hr. Tyszkiewicz na Łohojsku. Otrzymaliśmy dla Wp. następujące pismo. Prosiłbym Szanowną Redakcyę Łowca, żeby tych kilka słów umieściła w swych łamach.

Otóż o toku cietrzewi. — W mojej okolicy tokują tylko białe koguty. Tej wiosny zabiłem 11 a byłbym dużo więcej dostał, żeby nie licho przyniosło czarnego, który mi kilka idealnie pięknych dni zabrał n. b. bez skutku bo jak ja w tej budce, to on z pewnością przed drugą tokował. Bardzo żałowałem i żałuję, że mego przyjaciela i wiernego towarzysza od ćwierć wieku nie prosiłem, bo takich toków, jak tej wiosny, jak żyję nie pamiętam. Ale z nim to zawsze jakieś złe fatum stanie na przeszkodzie, tak i tej wiosny, miałem mu dać znać, ale w ostatniej chwili nie chciałem go na trudy i głód wystawiać, teraz żałuję. Proszę Cię więc mój drogi! Jak będziesz te słowa w *Łowcu* czytał miej mnie za wytłumaczonego, ale na przyszły rok, jak Bóg da doczekać, to z pewnością nie omieszkam zaprosić Cię.

W. P. **Adolf Korpal.** O korespodencye serdecznie prosimy.

W. P. **T. w Jarosławiu.** Numerów z lat poprzednich zupełnie nie posiadamy.

Od Redakcyi.

Z powodu, iż zabrakło nam numeru 3. Łowca z b. r. wydrukujemy drugi nakład tego numeru i prześlemy za kilka dni tym prenumeratorom, którzy go dotychczas nie dostali.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego · Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.